

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 40 „

$\frac{1}{4}$ „ — 20 „

$\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Trzy drogi.

Mamy wszyscy świeżo w pamięci niezwykle wzrost sympatji sowieckich w społeczeństwie polskim, jaki się zaznaczył po zawarciu paktu o nieagresji z Rosją Sowiecką. Podróże wzajemne rozmaitych delegacji, nacechowane serdecznością przemówienia na bankietach, wzmożona wymiana wartości kulturalnych, wystawy, koncerty, artykuły w prasie — wszystko to świadczyło o niezwyklej popularności zainicjowanego przez polską politykę zagraniczną kierunku, który odpowiadał hasłom głoszonym od szeregu lat przez endecję, a cieszącym się olbrzymim powodzeniem zwłaszcza w okresie początkowym wojny wszechświatowej.

Entuzjazm filozoficzny jednakże jak szybko wybuchnął, tak też prędko zgasł. Nie znaczy to, że w nastrojach społeczeństwa zaszedł zwrot zasadniczy, tylko wobec braku zachęty i poparcia ze strony sfer miarodajnych ustały objawy sympatji, wymagające odpowiedniej atmosfery i sprzyjających warunków.

Flirt z Niemcami, nakazany zgóry w związku z zawarciem nowego paktu o nieagresji, nie osiągnął ani w przybliżeniu takiego napięcia, jakie cechowało zbliżenie polsko-sowieckie. Opinia pozostała bardziej chłodną i powściągliwą. Front antyniemiecki wyraźnie pociągał ją bardziej, niż koncepcja ewentualnej ekspansji na wschód.

Obecnie można obserwować jakby pewną konsternację i postawę wyczekującą. Jaki ostatecznie kierunek w polskiej polityce zagranicznej zwycięży i utrwali się na przyszłość najbliższą? Odwieczne zagadnienie, które jeszcze w Polsce przedrozbiorowej zaprzętało umysły kierowników nawy państwowej, nie straciło nic ze swej aktualności. Warunki geopolityczne pozostały te same, mimo zmienio-

nych form zewnętrznych. Wciśnięta między dwa kolosy, zagrożona zawsze przez porozumienie Moskwy z Berlinem, przez Katarzynę i Fryderyka, czy przez powojenne Rapallo, zmuszona jest Polska do wyboru jednej z dwóch dróg, nie mogąc opierać trwałej swej przyszłości na zmiennych koniunkturach międzynarodowych.

W tej niepewnej sytuacji zaczynają się rozlegać głosy, ostrożne jeszcze i nieśmiałe, napomykające o możliwości trzeciej drogi, o koncepcji, zdawałoby się, już zapomnianej i pogrzebanej, a tak jeszcze niedawno, bo w zaraniu odradzającej się państwowości polskiej, mającej licznych wyznawców i zwolenników. Idea federacyjna, wywodząca swój ród z idei Jagiellońskiej, przyświecała, jak wiadomo, polityce personalnej Józefa Piłsudskiego w okresie, gdy naród polski odzyskał swą niepodległość. Odezwa do mieszkańców W. Ks. Litewskiego, wydana zaraz po zdobyciu Wilna w r. 1919 oraz wyprawa kijowska świadczą o szerokich planach i zamysłach ówczesnego Naczelnika Państwa. Niepowodzenie orężne, brak zrozumienia i sprzeciw opinii polskiej, usprawiedliwiona nieufność i podejrzliwość ze strony „młodszych braci” przekreśliły wszystkie te rozległe zamiary. Traktat Ryski, wcielenie bez zastrzeżeń Wileńszczyzny, unifikacja Galicji Wschodniej — zadały idei federacyjnej cios śmiertelny, triumf zaś polityki nacjonalistycznej w stosunku do mniejszości narodowych w granicach ustabilizowanych Rzeczypospolitej Polskiej pogrzebał ją ostatecznie i wzniosł na jej mogile ciężki głaz cmentarny.

Czy jest możliwe odwalenie tego kamienia i wskrzeszenie trupa? W numerze styczniowym „Włóczęgi”, w artykule wstępnym, polemizującym z pesymistycznymi wywodami prof. Michała Römera, czytamy takie oto wyznanie: „Głoszona przez prof. Römera koncepcja solidaryzmu bałtyckiego najbardziej jest popularna w Wilnie. Stąd promieniuje ona

na resztę Polski. W Wilnie właśnie marzymy o tem, by wspólnymi siłami Polski, Ukrainy i Litwy oraz państw bałtyckich stworzyć w środkowej Europie nową potęgę mocarstwową, która mogłaby zaważyć na losach świata". Pomijamy przesadę w powyższym twierdzeniu. O potędze mocarstwowej, złożonej z tak różnorodnych pierwiastków niema co myśleć. Wystarczyłoby dążenie do koordynacji sił w celach wyłącznie obronnych. Ale kto dziś o tem w Wilnie marzy?

Był czas istotnie, gdy federaliści wileńscy tworzyli grupę dość zwartą i wpływową, gdy głoszony przez nich program spędzał sen z powiek nastraszanej endecji. Dziś grupa ta rozpadła się i rozsyłała, a i klub „Włóczęgów”, który bodaj pragnie uchodzić za spadkobiercę jej ideologii, nie wykazuje jakoś energii w tym kierunku. Może i są jednostki w Wilnie, które myślą dawnymi kategorjami, lecz żadnej działalności szerszej nie rozwijają i opinii publicznej urabiać nawet nie próbują.

A zresztą co pomoże skuteczna nawet propaganda idei federacyjnej i wpajanie w społeczeństwo przekonania, że zbawienną jest tylko ta trzecia droga, skoro na przeszkodzie do jej realizacji stoi niewzruszone nastawienie nacjonalistyczne w stosunku do mniejszości narodowych w polityce wewnętrznej polskiej? Zapewne, mogłaby Polska liczyć na szerszy wpływ dookoła siebie, gdyby w pierw uregulowała swój zatarg z Litwą, a wobec dążeń narodowych białoruskich i ukraińskich zajęła stanowisko tolerancyjne i życzliwe. Na to się jednak nie zanosi. Nie widać żadnych skłonności do ustępstw. Krótkowzroczny nacjonalizm zamyka dostęp do trzeciej drogi. Pozostają tylko dwie, utworzone przez rojeńca imperjalistyczne à la Studnicki lub przez dok-

trynę nacjonalistyczną Dmowskiego. Można wreszcie nie decydować się na żadną z nich i *do czasu* lawirować między Scyllą i Charybdą...

Biblioteka im. Wróblewskich.

W roku bieżącym upływa 10 lat od śmierci nieodżałowanej pamięci Tadeusza Wróblewskiego, który swą pracą i ofiarnością przyczynił się do powstania w Wilnie tak doniosłej placówki kulturalnej, jaką jest Biblioteka im. Emilji i Eustachego Wróblewskich.

Dzieje tej biblioteki od czasu, gdy jej założyciel odziedziczył po rodzicach w historycznym już dziś mieszkaniu przy placu Napoleona szczupły księgozbiór, aż do chwili obecnej (ściślej do r. 1932) omawia broszura, napisana wspólnie przez dr. Stefana Rygla oraz p. Helenę Drège, a będąca odbitką z księgi pamiątkowej p. t. „Biblioteki wileńskie”, która wyszła przed paru laty z okazji III zjazdu bibliotekarzy polskich w Wilnie.

Broszura wspomniana, miejmy nadzieję, przyczyni się do spopularyzowania Biblioteki, o której zasobach i charakterze ogół nasz ma dość mętne a często wręcz opaczne pojęcie. Powodem tego jest okoliczność, że zbiory Biblioteki nie są dotąd udostępnione szerokiej publiczności i że w tym samym gmachu mieści się Instytut Badawczy Europy Wschodniej, który lubi się wysuwać na pierwszy plan, wywołując wrażenie, że on jest tu główną instytucją, przy boku której funkcjonuje biblioteka jako instytucja pomocnicza.

Tymczasem sytuacja przedstawia się zgoła odmiennie. Utworzone jeszcze za życia Wróblewskiego T-wo Pomocy Naukowej im. E. i E. Wróblewskich, jako prawny właściciel przekazanych mu przez fundatora zbiorów, zawarło w dn. 1 lutego 1926 r. umowę z Ministerstwem W. R. i O. P., na mocy której zbiory miały być ulokowane w charakterze *bezterminowego depozytu* w zakupionym przez skarb

Kwestja białoruska w oświetleniu obszarnika mińskiego.

O ile pamiętniki Hipolita Korwin-Milewskiego cechuje wybujały indywidualizm i subiektywizm, o tyle *Wspomnienia 1847—1928* (Wilno 1931) Edwarda Woyniłłowicza (których niestety tylko część pierwszą wydawcy uważali za możliwe ogłosić) odznaczają się przedmiotowością, bezstronnością i spokojem. Oczywiście relację wybitnego przedstawiciela obszarników mińskich należy przyjmować z dużą dozą krytycyzmu, uwzględniając jego stanowisko socjalne i związany z niem ciasny konserwatyzm.

Poniżej chcemy zebrać w jedno, co Woyniłłowicz powiedział w swej łabędziej pieśni o kwestji białoruskiej. Wywody autora, mające dziś już wartość historyczną, rzucają dużo światła na stosunek ziemiaństwa polskiego na ziemiach białoruskich do zagadnienia ich odrębności i niepodległości.

Sprawy białoruskiej Woyniłłowicz dotyka specjalnie od chwili, gdy pod pióro przychodzi oma-

wianie ewakuacji terenów białoruskich przez armje niemiecką po pamiętnym dla niej dniu 9 listopada 1918 r. „Powołując się nawet na tradycje historyczne, żądaliśmy (wtedy) nawet utworzenia Wielkiego Księstwa Litewsko-Białoruskiego, pod kuratelą niemiecką i prosiliśmy v. Falkenhaina o zakomunikowanie naszych aspiracji cesarzowi Wilhelmowi. To ostatnie podanie, tak było przeciwne mojej linii politycznej, tak dla mnie wstrętne...”

„Tutaj, z biegu rzeczy, należy i sprawę białoruską omówić... Poważną część ziemiaństwa polskiego na Białorusi, obejmującej część gubernji wileńskiej, większość grodzieńskiej i całość mińskiej, mohylowskiej i witebskiej, stanowią autochtoni, szlachta miejscowego pochodzenia, niegdyś wyznająca obrządek wschodni, lecz naogół w XVII wieku już katolicka i spolszczona. Poczynała się ona do wspólności krwi z ludem miejscowym, a przytem znała jego język, obyczaje i bynajmniej nie dążyła do jego polszczenia, ale owszem, współczuła przejawiającym się już w 2-iej połowie XIX w., wprawdzie bardzo słabym, ale istotnym, odruchom narodowościowym, którego pierwszymi pionierami byli ziemianie polscy, jak Czeczot, Zan, Syrokomla, Dunin-

specjalnie na ten cel pałacu po-Tyszkiewiczowskim, uporządkowane i oddane do użytku publicznego, przyczem ministerstwo zobowiązało się do utrzymania nadal Biblioteki własnym kosztem oraz do przestrzegania warunku, że pozostała część gmachu może być przeznaczona wyłącznie dla celów biblioteczno-muzealnych.

Nie wszystkie punkty umowy mogły być ściśle wykonane. Brak kredytów spowodował, że obszerna czytelnia, której projekt dawno już jest przygotowany, dotychczas nie została uruchomiona, co uniemożliwia otwarcie biblioteki dla szerokiego rzesz czytelników, z drugiej strony Komitet T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich, do którego należy obowiązek czuwania nad ścisłym wykonaniem umowy, dobrowolnie zrezygnował z wyżej wymienionego warunku zachowania charakteru biblioteczno-muzealnego pałacu po-Tyszkiewiczowskiego, zgadzając się na ulokowanie w lewym jego skrzydle, na razie zbyt wąskim dla potrzeb Biblioteki, Instytutu Badawczego Europy Wschodniej, a raczej istniejącej przy nim Szkoły Nauk politycznych. Wyrażając swą zgodę Komitet wychodził z założenia, że bliska symbioza tych dwóch instytucji wyjdzie Bibliotece na korzyść, ponieważ Instytut rozporządzając dość znacznymi funduszami, będzie pomnażał jej księgozbiór oraz nada jej piętno wybitnie naukowe.

Nie przewidywał jednakże Komitet, aby Instytut, skorzystawszy z udzielonej mu gościny, rościł pretensje do roli gospodarza i wogóle wykazywał taką zachłanność i bezceremonjalność, która znalazła swój wyraz w szeregu wypadków. Doszło wreszcie do tego, że Instytut (właściwie Szkoła Nauk Politycznych) zaczął urządzać doroczne bale w wielkiej sali, przeznaczonej na czytelnię, koryzstając, że jest jeszcze pusta i nieurządzona. A że zły przykład łatwo znajduje naśladowców, niebawem—w tej samej sali odbył się „Dancing-Bridge Kowieński”. Jakiś prostoduszny „Tancerz” zamieścił nawet w „Kurjerze Wileńskim” entuzjastyczną notatkę o tych balach, odbywających się w „lokalu, przedziwnie nadającym się do wytwornych zabaw”. Nieźle, co? Gdyby fundator ożył i ujrzał „profesorów,

tańczących ze swymi żonami, córkami i synami” w tym przybytku nauki i sztuki, chyba czempredzej znów położyłyby się do grobu.

Zapyta ktoś może, dlaczego dyrektor Biblioteki, który nie jest przecie zależny od Instytutu, zgadza się na tego rodzaju uroszczenia sublokatora i nie przywoła go do porządku? Odpowiedzi na to może udzielić prof. E. Koschmieder, który objął kierownictwo biblioteki po dr. Stefanie Ryglu, pozostawał w ciągu niecałych dwóch lat na tem stanowisku i ustąpił zeń przed kilku miesiącami...

Obecny kierownik Biblioteki dr. Stefan Burhardt zdaje się, ma nadzieję wytworzyć znośny *modus vivendi* pomiędzy Biblioteką a Instytutem. Czy to mu się uda — czas pokaże. Wielką przeszkodą do unormowania stosunków wewnętrznych w Bibliotece jest brak Statutu. Jedynym aktem prawnym, stwierdzającym istnienie Biblioteki i określającym jej charakter, jest umowa Ministerstwa W. R. i O. P. z Komitetem T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich. Ale umowa ta jest zbyt ogólnikowa, pod wielu względami niedostateczna (choćby w zakresie stosunków Biblioteki z Instytutem), wreszcie—jak wykazała praktyka—w kilku punktach nie odpowiada jąca potrzebom i wymaganiom chwili. Statutu zaś własnego dotąd Biblioteka doczekać się nie może, chociaż projekt jego został dawno opracowany i leży w ministerstwie, czekając na aprobatę.

Mimo tych wszystkich braków i stron ujemnych, Biblioteka się rozwija, rozrasta i wewnętrznie porządkuje. Blisko stotysięczny księgozbiór, na który składają się depozyt T-wa Pomocy Naukowej, depozyt Instytutu B. E. W. oraz spora już ilość nabytków, zakupionych z funduszy państwowych, po sporządzeniu nowego pełnego katalogu alfabetycznego i specjalnych katalogów działowych i rzeczowych, będzie stanowił poważny rezerwuwar wiedzy przedewszystkiem dla badaczy naszego kraju i obywateli ościennych. Zbiory rękopiśmienne oraz graficzne (bogaty dział ikonografji Wilna) znakomicie uzupełniają zadania t. zw. „regjonalne” Biblioteki. Po uzyskaniu kredytów na urządzenie czytelnicy, co podobno ma nastąpić jeszcze w roku bieżącym, Bi-

Marcinkiewicz i wielu innych; tego ostatniego najwięcej znany utwór sceniczny „Hapon” ujrzał nawet światło kinkietów teatralnych w Mińsku, podczas elekcji szlacheckich.

Władając językiem białoruskim równie dobrze jak polskim, i używając go stale w stosunkach z pracownikami rolnymi w swoim gospodarstwie, od kilku dziesiątków lat byłem w stałym kontakcie ze wszystkimi objawami ruchu białoruskiego najprzód w Mińsku, gdzie spotykałem się z Łuckiewiczem i Kostrowickim (ułamnym), następnie w Wilnie i Piotrogrodzie z Iwanowskim, Szypillem i t. d. Ze stowarzyszeń białoruskich zawsze, biorąc w nich jaki taki materialny udział, na końcu się usuwałem, albowiem rozpoczęta w nich praca początkowo w kierunku samopoznania i odrodzenia się narodowego (*Łuczynka, Sacha, Załhanie sonce i u nasze akonce* i t. p.) zwykle, ku końcowi przybierała hasła i kierunek socjalistyczny, któremu, wbrew swym przekonaniom, hołdować nie mogłem. Szowiniści polscy czynili mnie nawet, z powodu moich sympatyj białoruskich, zarzut, że nie jestem Polakiem, ale Białorusinem, co już na odpowiedzialność autorów tej koncepcji pozwałam sobie pozostawić, ale w każ-

dym razie pewną markę w tym względzie musiałem mieć wyrobioną, skoro pewnego wieczora zimowego w późniejszą porę, zjawił się u mnie w Sawiczach, bodaj ex-jezuita, następnie bazylianin z brodą, w cywilnym ubraniu, ks. Łomnicki, który dopiero nazajutrz mnie charakter swój duchowny wyjawiał i, przez dni parę bawiąc w Sawiczach, starał się wybadać, o ile z jednej strony unja kościelna w naszym kraju znalazłaby grunt podatny, jako niedawno, bo dopiero w roku 1839-ym skasowana, o tyle z drugiej strony, czy ja sam zgodziłbym się być jej propagatorem i ewentualnym prozelitą.

Ks. Łomnicki, człek nadzwyczaj światły i zręczny, już przed tem był w Piotrogrodzie i Moskwie, gdzie z wielu osobistościami wpływowemi miał kontakt i msze według swego obrządku odprawiał, konferował bodaj z samym Pobiedonoscewym i, jako na materiał podatny dla swojej misji, nawet niektóre seminarja duchowne w Rosji wymieniał. Wiele nam rzeczy ciekawych o stosunkach galicyjskich opowiadał, o których słabe mieliśmy pojęcie, wszystko to było silnie sympatjami rusińskimi zabarwione...”

To samo powtórzyło się w Mińsku z J. E. Metropolitą hr. Szeptyckim, gdy przyszedł do mnie także

bljoteka zostanie otwarta dla szerokiego ogółu czytelników, a nie jak dziś, dla szczupłego koła uprzywiljowanych, (głównie słuchaczy Szkoły Nauk Politycznych) i zacznie wtedy spełniać swą rolę, do której przeznaczył ją fundator. Wspólnie z Biblioteką Uniwersytecką, T-wem Przyjaciół Nauk oraz pomniejszemi księgozbiorami Litewskiego i Białoruskiego T-w Naukowych, wreszcie gminy ewangelicko-reformowanej, będzie zaspakajała w zupełności potrzeby naukowe i kulturalne Wilna.

Uroczyste otwarcie Biblioteki dla publicznego użytku będzie najlepszym uczczeniem pamięci fundatora w dziesiątą rocznicę Jego zgonu.

Karol Waga.

W setną rocznicę urodzin biskupa Antoniego Baranowskiego.

Dnia 24 lutego r. b. uniwersytet Witolda Wielkiego w Kownie święcił uroczystą akademią stulecie urodzin b-pa sejneńskiego Antoniego Baranowskiego.

Zasługi jego dla odrodzenia narodu litewskiego i rozwoju literackiego języka litewskiego są bardzo duże i dziwnie jednomyślnie uznawane i cenione. Toż w liczbie tych, co o Baranowskim pisali, jest też nawet świeżo zmarły w Moskwie wódz komunistów litewskich Vincas Kapsukas-Mickiewiczus. Oczywiście pisał o biskupie wtedy, gdy jeszcze fale przewrotu komunistycznego nie wyrzuciły go na powierzchnię dziejową czerwonego imperjum Sowietów.

Drugim rysem znamionym postaci wielkiego Litwina i pięknym typem katolickiego biskupa, a jednocześnie ojca swego ludu, oraz aktywnego mecenasa nauk i sztuk, była rzadko spotykana jego wielostronność. Istotnie, cóż za wspaniałe kompleks twórczego pracownika naukowego i płodnego literata widzimy w tym biskupie! Zestawmy tylko. Tłumacz Pisma św. na jęz. litewski, gruntowny znawca ascezy chrześcijańskiej, utalentowany poeta tyleż religijny, co i świecki, światły duszpasterz, wybitny lingwista

i lituanolog, świetny matematyk, biegły a poszukiwany przewodnik dusz, pełen głębokiego znawstwa etnograf, wymowny a gorliwy kaznodzieja, autor gramatyki litewskiej, muzykolog... Miły, pogodny, ujmujący, towarzyski, pełen prostoty a słodczy... Dusza i ciałem należący do Kościoła Powszechnego, pisał prawie z równą swobodą po litewsku, polsku, rosyjsku, niemiecku... Tak w Warszawie drukował on studjum matematyczno-filozoficzne „*O progresji transcendentalnej oraz o skali i siłach umysłu ludzkiego*”. Krakowska Akademia Nauk drukowała jego studjum. „*O wzorach służących do obliczania liczby liczb pierwszych, nie przekraczających danej granicy*”, a urzędowa *Izwestja Imperatorskiej Akademji Nauk* ogłaszały jego artykuły o języku litewskim i takim że słowniku Gilusa. Ucenie niemieccy (protestanci!), jak np. Hugo Weber..., wspólnie z nim wydawali cenne, a źródłowe *Ostlitauische Texte, Zur litauischen Dialektforschung...*, które wcale nie straciły na wartości i dziś, skoro po wojnie lipski *Forschungsinstitut für Indogermanistik* wydał dwa duże tomy prac b-pa Baranowskiego w ll. 1920 i 1921, więc w dwadzieścia lat pozgonie autora... Fakt ten posiada swą wymowę.

Najlepszym znawcą biografji b-pa Baranowskiego był ks. Tumas, autor życiorysu *Antanas Baranauskas 1835—1902* (Kaunas), gdzie można znaleźć też dużo materiału anegdotycznego, co zwykle zmniejsza dystans między nami a pewną postacią historyczną, czyniąc z niej bliskiego znajomego.

Po ukończeniu seminarjum duchownego w Worniach i akademji duchownej w Petersburgu, b p Baranowski (obok ab-pa Symona) był tym szczęśliwym wyjątkiem, który mógł, w drodze legalnej udać się, dla uzupełnienia studjów teologicznych zagranicę na tamtejszych wydziałach teologii katolickiej. Więc w r. 1863 widzimy go na uniwersytecie w Monachjum. Wysłał go zagranicę ówczesny rektor akademji rodak b p Bereśniewicz, wybór zaś uniwersytetu był znowu dziełem dyr. dep. hr. Siewersa. Sam b-p Baranowski wówczas nie miał większego przekonania do uczelni niemieckich. Zamieszkując w Monachjum pokoił nieopodal uniwersytetu, uczył się jednak

w cywilnym ubraniu w towarzystwie bodaj tego samego Łuckiewicza i w tym samym, co ks. Łomnicki — zamiarze.

Ruch białoruski, jak powiedziałem wyżej, życzyliwie przez polskie ziemiaństwo powitany, został w Mińsku, przy współudziale przedstawicieli tegoż ziemiaństwa, wznowiony podczas ostatnich posiedzeń ziemstwa w 1917 roku. Głównym inicjatorem był p. Smolicz, pracownik ziemstwa, przy patronacie R. Skirmuntta, który ówczesnie pracował w aprowizacji, jako wojskowy, przez mobilizację powołany. W zebraniach białoruskich brałem udział tylko dorywczy, będąc przyjezdnym tylko członkiem. Przewodnią myślą naszą było rozbudzenie samopoczucia narodowościowego u Białorusinów, aby wyodrębnić ich od Moskwy i uwolnić spokojny, zdrowy w pojęciach swoich lud białoruski od anarchji, która już wówczas z rdzennej Rosji, coraz to głębsze korzenie zapuszczała. Zebrania te nosiły przeważnie charakter protestu przeciw dopiero co upadłemu reżymowi carskiemu. Brali w nich i księża, wśród których ruch ten zyskał licznych adeptów, a jednym z najwięcej szowinistycznych członków stała się ks. Magdalena Radziwiłłowa, dwukrotnie wdowa, po ks. Lud-

wiku Krasieńskim i ks. Mikołaju, synie Wilhelma, Radziwiłła z linii nieświeskiej, jako urodzona Zawiszanka, dziedziczka olbrzymich obszarów w Mińszczyźnie, w dobrach Kuchcice, Żarnówki itd., zakładająca szkółki ludowe białoruskie i funduszami swemi hojnie ruch białoruski wspierająca.

Ruch ten, jak wszystkie zresztą inne organizacje białoruskie, podjęty w celach narodościowych, zaczął powoli przybierać hasła socjalistyczne, co naturalnie żywoży ziemiańskie musiało odstręczać, a owszem u ówczesnych rządów Kiereńskiego markę i poparcie zdobywało. Potrzebne były środki; społeczeństwo białoruskie, składając się z elementów mało narodowościowo uświadomionych i naogół niezamożnych, nie mogło ich dostarczyć, trzeba było zwrócić się na wschód, tam, gdzie pieniądze drukowano w dowolnej ilości i gdzie patronowano wszelkiej działalności wywrotowej, pod warunkiem jednak podporządkowania się pewnym dyrektywom centrali.

Zwołany w grudniu 1917 r. wielki zjazd białoruski, składający się z osobników wcale nieuświadomionych, ale posłusznych, mających koszta podróży

ustawicznie i zdobył tu stopień doktora w ciągu trzech miesięcy, poczem pojechał do Rzymu, który go o wiele więcej pociągał. Tu pracował przeważnie w bibliotekach kościelnych i świeckich. Skolei bawił pewien czas w Insbruku, mieszkając w konwiktie jezuickim. Wreszcie czas pewien słuchał wykładów na uniwersytecie w Lowanjum, skąd wrócił już w r. 1865 do Petersburga.

Życie, edukacja i działalność b-pa Baranowskiego przypadły na najgorsze dla Litwinów lata. Nigdy bardziej nie był język litewski w pogardzie, jak za jego czasów. Tak było w kościele i na plebanji, w seminarjum i w szkole, w rodzinie i w warstacie. Natomiast formowała się już wtedy polska ideologia narodowa, która miała rychło wystąpić pod hasłem: *jedność wiary—jedność narodowa*.

Sporo więc przypadło w udziale b-powi Baranowskiemu przykrości i cierpienia, atoli nie pozbawiły go one wrodzonej pogody ducha i zawsze życzliwej jego postawy względem ludzi. Jedną mu ona umysł i serca uczonych i prostaczków, co podkreślił m. in. prof. W. Lutosławski i w. innych.

Obecny obchód stulecia urodzin b-pa Baranowskiego niewątpliwie przyczyni się do lepszego poznania i oceny drugiego po Wołonczewskim biskupa, który na zawsze związał swe imię z odrodzeniem Litwy.

Rimtas.

Z mego notatnika.

Kto winien?

P. Cat od pewnego czasu toczy zaciętą walkę z rozwielenionymi w polskim życiu państwowym i społecznym fikcjami. Dzieląc się ze swymi czytelnikami wrażeniami, odniesionymi z przeczytania 33 nowelek nadesłanych przez nauczycieli szkół powszechnych na konkurs „Słowa”, p. Cat stwierdza, że autorzy i autorki „we wspaniały sposób—plastyczny, przekonujący opowiadają o szalonej sprzeczności

i pobytu w Mińsku opłacone, wybrał *Radę Białoruskiej Republiki Ludowej*, która miała nieostrożność wspomnieć o swej suwerenności. Bolszewicy, zwołenni wszędzie *jedyną i niedzielną Rosji*, Radę tę rozpedzili, która przy okupacji niemieckiej, znowu się samorzutnie już skleiła, zajęła w swe posiadanie dom gubernatorski i na balkonie chorągiew białoruską, biało-czerwoną-białą, wywiesiła i ponownie miała nieostrożność Radę za rząd krajowy ogłosić, ale że jednocześnie z prawicowych więcej odłamów prowodyrów ruchu białoruskiego, powstał *Komitet*, który z *Radą* był w pewnej emulacji, a że Niemcy wogóle nie rozumieli rządu w rządzie, jednego pięknego poranku wszedł feldfibel z befelem i z kilku gemeinami i zebrał Radę rozpedził. Dom ten następnie dla generała v. Falkenheina uporządkowanym został.

Trzeba wiedzieć, że Niemcy pomimo uznania elementu ziemiańskiego, jako jedynej siły kulturalnej w kraju, jednak wszędzie i zawsze występowali przeciwko polskiemu charakterowi tego ziemianstwa, wszelkie wpływy polskie starannie usuwali, a Białorusinów, jako element, zarówno protestujący przeciw Polsce, jak i przeciw Rosji, popierali, pod wa-

między robotą papierową a rzeczywistością. W papierach pisze się o skoczniach, świętach lasu, świętach pieśni, dziesiątkach organizacji, szerzeniu najwspanialszych i najidealistyczniejszych pomysłów, a w rzeczywistości nauczyciele mają do czynienia z wszami, brudną ciemnotą, głodem — kromkami chleba, przyniesionymi w śmierzających, nędzarskich torbach. To jest rzeczywistość, a tamto piękne teorie. Ale teorie te żyją, trzeba o nich składać raporty, gorzej — trzeba na te różne cele opodatkowywać rodziców chłopskich dzieci”.

Tak pisze p. Cat w długim artykule, który jest jednym aktem oskarżenia przeciwko panującemu systemowi biurokratycznemu. Bodaj w żadnym z pism opozycyjnych nie spotkałem tak druzgocącej i zjadliwej krytyki owej „radosnej twórczości”, z której tak dumny był i jest na ogół obóz sanacyjny. Ale któż tedy jest winien, że ten system zapuścił tak głębokie korzenie? Czy o tych wszystkich fikcjach pisze się tylko w papierach urzędowych? A czy na papierze gazetowym nasza rzeczywistość jest malowana prawdziwie i krytycznie?

Powracając do tego samego tematu w innym artykule p. Cat zastrzega się, że nie wolno oskarżać rządów pomajowych, ponieważ są one bezsilne bez poparcia opinii publicznej. Przypuśćmy. Czemuż p. Cat dopiero po 10 latach trwania tych rządów obejrzał się i dostrzegł tyle braków i niedomagań, i to za ledwie na jednym odcinku życia państwowego? Czemu dotąd milczał jako publicysta i czemu nie zabierze głosu jako poseł sejmowy? Przecież Sejm właśnie powinien być wyrazem opinii publicznej! A może i Sejm jest takąż samą fikcją papierową?

Precz z przeżytkami!

Aby nie być posądzonym o zbyt liberalizm czy nadmierny krytycyzm, po pewnym czasie wystąpił p. Cat w obronie Berezy Kartuskiej i werbowania przez policję konfidentów wśród młodzieży uniwersyteckiej. Że to niby konieczność państwowa. Policja musi mieć we wszystkich środowiskach swych wywiadowców i ludzi zaufanych, inaczej jest bezsil-

runkiem zupełnej uległości nastrojom władz okupacyjnych. Wskutek tych warunków sprzyjających, Rada Białoruska znowu ożyła, lecz zrozumiałwszy, że nie potrafi sprostać swym zadaniom, z powodu braku inteligencji w swych szeregach i, że tak powiem, walki na dwóch frontach, polskim i moskiewskim, postanowiła przerwać swe odosobnienie i wciągnąć do współdziałania wszystkie klasy społeczne. Więc, nie pamiętam podczas którego posiedzenia Tow. Rolniczego w 1918 r., które zawsze większą liczbę przyjezdnych do Mińska ścigało, urządzono wielkie zebranie białoruskie, jak zwykle w domu obecnie *Ludowym*, a dawniej *Jubileuszowym* na gruntach archijerejskich, na które otrzymali zaproszenie przedstawiciele wszystkich organizacji społecznych, więc: miasta, Tow. Rolniczego, gminy żydowskiej, bractwa prawosławnego i t. p. w ilości przez Białorusinów zgóry zastrzeżonej. W liczbie wezwanych byłem i ja.

Dom ten był zbudowany na pamiątkę 300-letniego jubileuszu panowania Romanowych. Zebranie było liczne, na ścianie za prezydującym wisiała ogromna mapa Białorusi, sięgającej z jednej strony aż w głąb Podlasia, a z drugiej strony dążąca aż za Smoleńsk i Czernihów hen, ku wschodowi.

na i nie może sprawnie funkcjonować. P. Cat podrwiwa z posła Winiarskiego, który z trybuny sejmowej nazwał wstrętami i haniebnymi tego rodzaju metody policyjne, stosowane w środowisku akademickim. P. Cat nie widzi w tem nic złego ani demoralizującego.

Trudno zarzucić p. Catowi niekonsekwencję. Wypowiedział wojnę fikcjom, a przecież autonomia uniwersytecka, społeczność akademicka, solidarność studencka—wszystko to są niewątpliwie fikcje. Czemuż policja ma czynić wyjątek ze swego systemu względem wyższych uczelni? Precz z obłudą i fałszywym sentymentalizmem! Uczmy się patrzeć na życie trzeźwo, bez obłonek i złudzeń! Najniesłuszniej szpicle byli otaczani dotąd pogardą. Wielki czas już ich zrehabilitować. Nawet jeśli się okaże, że policja ma swego konfidenta również w redakcji „Słowa”, to p. Cat tem odkryciem się nie zgorzyszy. Trudno—trzeba się pogodzić z koniecznością państwową. I p. Cat uściśnie serdecznie swego kolegę redakcyjnego, który się okazał wyższym ponad śmieszne skrupuły i nakazy staroświeckiej obyczajowości.

W próżni.

P. Dowmunta ubodła nasza uwaga, że trwała wartość posiada tylko autonomia zdobyta a nie nadana z góry. P. Dowmunt upatruje w naszym stanowisku jakąś przekorę i dążenie do osłabienia państwa.

Ale tak też rozumowali wszyscy obrońcy ustrojów absolutystycznych, mając do czynienia z ruchami rewolucyjnymi i odśrodkowymi. Oni również uważali wszelkie samodzielne dążenia ludności do przebudowy ustroju za czyn antypaństwowy. Jednakże historia uczy, że rządy najczęściej się myliły w ocenie intencji i skutków ruchów masowych, z drugiej zaś strony nie było bodaj wypadku, by jakiś rząd centralistyczny *dobrowolnie*, nie będąc do tego zmuszony, a nawet bez żadnego nacisku z dołu zrezygnował ze swych uprawnień i prerogatyw.

P. Dowmunt chyba przyzna, że nawoływać do nadania autonomji Wileńszczyźnie, gdy ta się jej nie domaga wcale—jest zajęciem nieproduktywnym.

Warszawy p. Dowmunt nie przekona, a do Wilna głos „Człowieka w Polsce” nie dociera. Szkoda, że p. Dowmunt nie może szerzyć swej propagandy na gruncie wileńskim.

Geografja i polityka.

Szkoda również i z innych względów, że p. Dowmunta niema wśród nas. Przydałby się bardzo. Przydałaby się jego wyjątkowa bezstronność i odwaga cywilna.

Dowiódł jej pisząc o rozkazie komendanta kowieńskiego używania nazw geograficznych w brzmieniu litewskim. P. Dowmunt nie broni tego rozporządzenia, ale też nie rozdziera szat. Przypomina przy sposobności, że i w Polsce zastosowano stanowczy i bezwzględny zakaz mówienia i pisanja Bromberg, Pozen, Hohensalza zamiast Bydgoszcz, Poznań, Inowrocław. I pisma niemieckie wychodzące w Polsce musiały się do tego zarządzenia zastosować: z nagłówek ich znikły niemieckie nazwy tych miast, ukazały się gotykiem pisane—polskie.

A pretensje do pism litewskich w Wilnie za posługiwanie się terminem *Litwa Wschodnia* w odniesieniu do Wileńszczyzny? Tu już nie o język chodzi, ale o zasadnicze pojęcia historyczno-geograficzne. Nie wolno Litwy Środkowej nazywać Litwą Wschodnią, bowiem jest to równoznaczne z przekreśleniem tradycji, które nazwą *Litwa* obejmowały również obszary położone znacznie dalej na wschód, niż dzisiejsza Wileńszczyzna. Rezygnacja z aspiracji wielko litewskich, wyrzekanie się spuścizny Witolda Wielkiego nie mogą być tolerowane. Wszelkie naleciałości trzeba tępić.

Różnica między naszą administracją a kowieńską polega na tem, że nasza jest w zakresie geografji konserwatywną i nie lubi inowacyj, kowieńska zaś ma wyraźne inklinacje burzycielskie.

Licz.

Przewodniczył „prezes ministrów” Łosik, na bocznej ławie zasiedli „ministrowie”. Po ogłoszeniu ukonstytuowania się rządu *Niepodległej Białorusi*, postanowiono zakomunikować o tem ościennym państwow naturalnie tylko środkowej Europy, ponieważ działo się to podczas okupacji niemieckiej 1918 r. Do Papieża i patriarchy moskiewskiego Tichona miały być wyprawione tylko depesze, do Berlina, Wiednia i Szwajcarii postanowiono wysłać delegacje. Wyliczone były, nie wiem już na jakiej zasadzie, koszta misji, bodaj że na 29 000 rb., lecz, gdy zapytano o stan kasy ministra finansów, ten oświadczył, że posiada w gotówce bodaj tylko 7 rb. 50 kp., spaliłoby wszystko na panewce, gdyby Niemcy nazajutrz potrzebnej sumy nie asygnowali, albowiem, trzymając się zasady *divide et impera* (stara pieśń), jak powiedziałem, ruch białoruski w pewnych razach popierali. Należy zaznaczyć, że w skład delegacji weszli nie pamiętam już kto z Białorusinów, przytem R. Skirmuntt i ordynat nieświeski, na którego związku międzynarodowe wiele rozliczano. Ale,

że panowanie Niemców miało się już ku końcowi, misja ta nie dała żadnych konkretnych rezultatów.

Jak już wspomniałem, rząd bolszewicki, który po Niemcach nastąpił, nie był życzliwie dla odrębności białoruskiej usposobiony, stojąc wciąż na gruncie *jedynol i niedielimol* niegdyś carskiej, a obecnie *sołdacko-robotniczej* Rosji. Organizacja białoruskie rozpadały się na prowincjonalne odłamy: miński, grodzieński, wileński z rozmaitem, mniej lub więcej, czerwonym zabarwieniem, w zależności od tego, jak te prowincje w orbitę rządów polskich wchodziły. Przedstawiciele białoruscy orjentowali się prędko. Jeżeli na uprzednim zjeździe wspomnienie *legjonów* wywoływało protesty największego oburzenia, to zimą 1918—1919 r. zjawiać się zaczęli i do najwyższych sfer rządzących w Warszawie dobijać delegacji białoruskich organizacyj z naleganiem, aby *legjony* szły coraz dalej ku Dnieprowi i Dźwinie, zajmując pod znaki Orła i Pogoni cały kraj białoruski.

(D. c. n.).

BOSZY

Wileńskie minjatury palestranckie.

A teraz ukłon piękny, czapka z głowy,
Trzeba być szarmanckim, rycerskim zarazem.
Bo mam tu przedstawić nasze białogłowy —
Nie można ich dotknąć kłującym wyrazem.

Lepiej nie zadzierać, gdy wchodzi w grę podwika,
Boć jedna ma za męża pana pułkownika,
Druga rotmistrza, trzecia profesora,
Czwarta starostę, inna znów doktora.

Nuż ci opiekuni, niby wciekła orda,
Rzucą się na mnie z pięściami, z szablami...
Czyż ja im poradzę?... Biedna moja m...
Znaczona sińcami, pokryta bliznami...

ADWOKATKA W SWEJ KANCELARJI.

— „Ktoś dzwoni, otwórz!” ... — „Klient, proszę pani”...
— „Co klient?... O Boże, prosić do salonu.”
Długa rozmowa. Finał: „Nie mogę wziąć taniej,
Niż trzy złote — nie mogę, choćby dla fasonu.”

W POKOJU ADWOKACKIM.

Mizdzy się... uśmiecha... staje przy lusterku,
Poprawia włosy, usteczka maluje,
Brwi, rzęsy... Potem grzebie coś w pudzderku...
Gdzież puder?... To znaczy... obronę szykuje.

OBRONA.

Adwokatka broni... Jest ton w tem, jest wena,
Sędziowie słuchają, czują się, jak w bajce,
Zda się, że słyszą utwór Bathowena
Cudnie wykonany, lecz na... bałajajce.

W RODZINIE.

Motto.

„Słuchaj, dziewczeczko.” — Ona nie słucha.
„To dzień biały, to miasteczko,
Przy tobie niema żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytaś,
Kogo wołasz, z kim się witasz?”
— Ona nie słucha. —

A. Mickiewicz.

— „Słuchaj, żoneczko, już późna pora,
Trzeba nakarmić naszą dziecinę,
A ty wciąż siedzisz, dumasz od wczora
I taką dziwną, obcą masz minę.

To się zrywasz, to dłoń wyciągasz
I krzyczysz głośno: Wysoki Sądzie!
Brzydkimi słowy komuś urągasz —
Ach, kiedyż spokój w twej duszy zasiądziesz?...

I mnie nie popieścisz, jak dawniej bywało,
I na pierś moją nie skłonisz głowy,
No, powiedz wreszcie, co z tobą się stało,
Wszak nie poskąpił ci Pan Bóg wymowy”...

* * *

— „Nie dla mnie, luby, nie dla mnie pieśzcoty,
Do twych uścisków nie czuję ochoty,
Inna, ach, inna myśl duszę mą pęta —
Ja mam klienta.

Muszę więc myśleć, jak wygrać sprawę,
Przeciwnikowi jaką dać odprawę,
Ot, leży przedemną kasacja zaczęta —
To dla klienta.

A naszym dzieckiem już ty się zajmij
Lub mu stateczną piastunkę wynajmij,
Nie dla mnie, nie dla mnie, dziecka rączęta —
Ja mam klienta.

Piszą do nas.

Dwie wystawy.

Niedawno w Wilnie odbywał się „tydzień sportów zimowych”, zorganizowany przez Związek Propagandy Turystycznej. W ramach „tygodnia”, celem zainteresowania szerszej publiczności, przede wszystkim — spodziewanych gości samem Wilnem i jego zabytkami, zorganizowano dwie wystawy: fotograficzną Zw. Prop. Tur. w sali Izby Handlowo-Przemysłowej i „Wilno w obrazie i słowie” Żydowskiego T-wa Krajoznawczego, i tu właśnie spotkaliśmy się z objawem dla naszych stosunków narodowościowych niezmiernie charakterystycznym.

Wystawa fotograficzna miała charakter wybitnie ekskluzywny polski. Ekspozycje wyłącznie fotografów Polaków (Bułhak, Zakrzewski, Krzysztofik, Śledziwski, — „Foto-Klub”); napisy tylko w języku polskim. Według zdawna przyjętej zasady: Wilno — miasto „czysto polskie”, ośrodek kultury polskiej.

W przeciwieństwie do tego wystawa w Żydowskim T-wie Krajoznawczem zespółiła to, co wszystkie narodowości kraju o Wilnie pisały, ujawniając zarówno swój stosunek do naszego miasta, jak również rolę, którą grało ono i gra w ich życiu kulturalnym. Obok druków w języku żydowskim widzieliśmy więc rzeczy polskie, białoruskie, litewskie i inne. Na zaproszenie Żydowskiego T-wa Krajoznawczego zarówno Białorusini, jak i Litwini chętnie udzieliли ze swych zbiorów — obok druków — liczne obrazy dawnego Wilna, fotografie wybitnych działaczy wileńskich etc. I wystawa przez Żydów zorganizowana wręcz odmienne światło rzuca na prastarą stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego: ujawnia ona, że tu — w tem „rdzennie polskim” mieście — istnieje i istniała od wieków kuźnia kultury białoruskiej, litewskiej, żydowskiej...

Zapytujemy: czemu imprezy polskie tak starannie omijają to wszystko, co przypomina o odwiecznych autochtonach i dawnych gospodarzach kraju? I czemu w nich nie biorą udziału Białorusini i Litwini, dla których Wilno — jak mówi o tem

choćby ich poezja reprezentowana na wystawie — jest nie mniej drogą, niż dla Polaków?

Tu już zaczyna się sfera polityki i „racji stanu”. Ona to wypacza stosunki między narodami, kraj nasz zamieszkującymi, które w normalnych warunkach współpracować na gruncie kulturalnym i mogą i chcą, jak świadczy przykład wspomnianej imprezy żydowskiej.

W. K.

Prasa żydowska o projekcie bibliotek gminnych oraz o nowej ordynacji wyborczej.

Ostatnio wiele się pisze o projekcie bibliotek gminnych, który ma być rozpatrywany przez izby prawodawcze. Projekt ten został przygotowany jeszcze w roku 1932 i przewiduje, by przy każdej gminie została utworzona biblioteka, która ma zaopatrzyć ludność w książki. Biblioteki będą funkcjonowały pod kontrolą Ministerstwa Oświaty.

W sprawie tej wypowiedział się już szereg osobistości polskiego świata kulturalnego, *za*: Sierozewski, Boy-Zeleński, Kaden-Bandrowski i inni; *z* zastrzeżeniami Emil Breiter; *przeciw*: były minister skarbu i obecny redaktor „Gazety Polskiej” I. Matuszewski, redaktor „Słowa” St. Mackiewicz, prof. Rybarski i cały szereg innych.

Przeciwnicy tego projektu wysuwają motywy polityczne i gospodarcze. „Robotnik”, nprz. obawia się, że biblioteki i wydawnictwa, które powstaną w związku z tem, będą instrumentem politycznym w rękach obozu rządowego. Leader endecki prof. Rybarski operuje motywami naukowymi i powiada, że podatek biblioteczny będzie miał charakter podatku dodatkowego, co nie jest w zgodzie z zasadami polskiej polityki budżetowo-finansowej.

Ciekawą jest motywacja *contra* wybitnego działacza sanacyjnego redaktora „Gazety Polskiej” p. Matuszewskiego. Utrzymuje on, że nie wolno jeszcze bardziej obciążać budżetów gminnych, które i tak się trzymają na kruchych podstawach. Biblioteki gminne będą tylko nową fikcją podobnie do ustawy o szkołach rolniczych. Na podstawie bowiem wspomnianej ustawy z r. 1919 miały być utworzone w każdym powiecie conajmniej 2 szkoły rolnicze (1 dla chłopców i 1 dla dziewcząt). W rzeczywistości na ogólną ilość 241 powiatów w państwie mamy takie szkoły powiatowe zaledwie w 40 powiatach, przyczem w 20 powiatach tylko pojedyncze szkoły.

Projekt bibliotek gminnych popierany jest gorąco przez wydawców. Gotowi oni nawet przyjąć państwu z pomocą finansową przy jego urzeczywistnieniu.

Prasa żydowska rozpatruje ten projekt z punktu widzenia interesów mniejszości narodowych.

Warszawski organ Bundu „Naje Folkscajtung” omawiając projekt pyta:

„Dziwnem wygląda, że akuratnie w takim czasie, gdy setki tysięcy dzieci pozostają poza szkołą, gdy ostatnio ogłoszono wprost rekordowe liczby o analfabetyzmie w Polsce, (we wszystkich województwach kresowych jest około 50% analfabetów), gdy w nowej konstytucji odrzuca się bezpłatne nauczanie, gdy w szkołach publicznych mają wprowadzić opłatę za nauczanie, w takim czasie właśnie chcą nas obdarzyć ładnym projektem przymusowych bibliotek gminnych”.

Pismo konkluduje, że projekt nie ma na celu podniesienia poziomu kulturalnego ludności, jeno stworzenie aparatu, z pomocą którego będzie wywierany wpływ na szerokie warstwy ludności.

„Wilner Tog” znowu ubolewa, że Żydzi i wogóle mniejszości będą ponosić ciężary tego przymusu bibliotecznego, a nic wzamian nie otrzymają.

„Wydawnictwom polskim otwiera się perspektywa olbrzymich zarobków przy zakładaniu bibliotek gminnych. Nie ulega żadnej wątpliwości, że książki nie polskie przy tworzeniu tych bibliotek będą albo całkiem pominięte albo będą zakupywane w bardzo szczupłej ilości. Co się zaś tyczy książek żydowskich, to takich do bibliotek gminnych napewno wcale zakupywać nie będą”.

Obawia się również „W. Tog”, że projekt ten w razie urzeczywistnienia może zaważyć na losach niektórych firm wydawniczych, tych mianowicie, które nie potrafią zaskarbić sobie względów czynników, mających wyływ decydujący na dobór książek w bibliotekach.

W warszawskim „Momencie” poseł Rozmaryn omawia stosunek nowej konstytucji do Żydów. Zwracając uwagę na to, że i w dotychczasowych sejmach po majowych niewiele można było od przedstawicieli parlamentarnych oczekiwać, uważa jednak, że,

„mimo to nie możemy się odnosić obojętnie, czy ludność żydowska będzie miała przedstawicielstwo w izbach prawodawczych, czy nie. Pomimo wszystkich jego wad, parlament jednakże był i pozostał jedyną trybuną, z której mógł się rozlegać niezależny głos Żydów, gdzie można było wyrazić protest przeciwko krzywdom i bezprawiom częstokroć wobec Żydów popełnianym”...

Przewiduje poseł Rozmaryn, że według nowej uchwalonej przez Senat konstytucji, znoszącej zasadę proporcjonalności i wprowadzającej okręgi wyborcze jednomandatowe, zamiast 44 posłów, należnych Żydom stosownie do ich liczebności, nie będą oni mieli żadnego lub w najlepszym razie paru i konkluduje, że:

„ludność żydowska straci jedyną wolną trybunę, z której mogła być wysłuchana zarówno przez swoich jak i przez obcych”.

Naczelny publicysta „Hajntu” p. A. Einhorn dochodzi do wniosku, że nowy projekt konstytucji upośledzając przedstawicielstwo ludowe kosztem rozszerzenia praw rządu i Prezydenta

„pozbawia uciskane warstwy społeczne, Żydów i wogóle mniejszości narodowe jedynej legalnej areny walki o prawo i sprawiedliwość”.

Co do zniesienia zasady proporcjonalności i utworzenia okręgów jednomandatowych uważa p. Einhorn, że:

„Partja rządząca będzie się domagać od wyborców żydowskich, by głosowali za nią. Doprowadzi to do tego, że partje opozycyjne i mniejszości narodowe będą wskazywały na Żydów jako za winowajców zwycięstwa wyborczego obozu rządowego. Projekt ten ma jeszcze i tę ujemną stronę, że nie tylko zredukuje do minimum przedstawicielstwo żydowskie, ale stawia je między młotem a kowadłem”.

Kończy p. Einhorn zapewnieniem, że Żydzi nie będą ślepym instrumentem w ręku sanacji, że albo połączą się z opozycją lub mniejszościami, by użyć dla siebie przedstawicielstwo, albo w niektórych okręgach wcale nie będą brać udziału w wyborach.

J. H.

